

**SŁUŻBY SPECJALNE**  
**WYWIAD WOJSKOWY**

**Ronald Yust**

# PREZYDENCI

*uprowadzenie...*

**NOCNE  
POLAKÓW  
ROZMOWY**



e-book  
**ASTRUM**  
**MEDIA**  
[www.astrummedia.pl](http://www.astrummedia.pl)



# **PREZYDENCI**

*uprowadzenie...*

Ronald Yust

# PREZYDENCI

*uprowadzenie...*

e-book

ASTRUM

MEDIA

[www.astrummedia.pl](http://www.astrummedia.pl)

W R O C Ł A W

© Copyright by Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.

*Wszelkie prawa zastrzeżone*

Opracowanie redakcyjne  
Joanna Kotowska

Redakcja techniczna  
Elżbieta Bursztynowicz

Projekt okładki  
Dacjan Domagała

Wydanie II

*Żadna część tej pracy nie może być powielana i rozpowszechniana,  
w jakiegokolwiek formie i w jakiegokolwiek sposób,  
włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy lub przy użyciu  
innych systemów, bez pisemnej zgody wydawcy*  
(art. 116, 117 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych  
z dn. 4.02.1994 r.)

Zamówienia na książki można składać na kartach pocztowych  
lub przez Internetową Księgarnię Wysyłkową  
[www.wydawnictwo-astrum.pl](http://www.wydawnictwo-astrum.pl)

Zapraszamy do zakupu naszych książek, multimediiów,  
słuchowisk, poezji śpiewanej w formie e-booków i e-audiobooków  
na platformach cyfrowych

Wydawnictwo ASTRUM Sp. z o.o.  
50-374 Wrocław, ul. Norwida 19/6  
e-mail: [handlowy@astrum.wroc.pl](mailto:handlowy@astrum.wroc.pl)

ISBN 978-83-63758-14-3

\* \* \*

Orzelski dyszał ciężko dźwigając na kamizelce kuloodpornej dwa pistolety i kilka przydatnych nowoczesnych gadżetów. Nie wyżył się starych przyzwyczajęń z czasów, gdy był komandosem. Zapomniiał tylko, że nie miał już trzydziestu lat. No i z czasem też znacznie przytył, choć nie chciał się do tego przyznać. Przekonywał kolegów, że wszystkie oponki i zwały ciała na ramionach to wielkie, ukształtowane podczas wytężonych treningów, mięśnie. Mimo to kondycją i sprawnością mógłby przewyższyć niejednego młodego policjanta. Zwłaszcza, że miał lata doświadczeń.

– Szybciej, kurwa! Ruchy-ruchy! To nie spacer po lesie!!! – krzyknął pod adresem człowieka ze związanymi z tyłu dłońmi i workiem na głowie, którego pędził przed sobą jak barana na rzeź.

Ledwie dyszał i po drodze ocierał strugi potu, jednak nie zwalniał ani odrobinę i nieustannie poganiał swego jeńca.

Nieco odetchnął, gdy zbliżyli się do czarnej furgonetki, ale wciąż nie zmniejszał tempa.

– W dół łeb, schylaj-schylaj, bo se go rozwalisz! – krzyknął pospiesznie wpychając związanego do środka i wskakując za nim. – Ruszaj! No ruszaj, kurwa! Biegiem, na co czekasz?! – odwrócił się do kierowcy jednocześnie krępując nogi człowiekowi z workiem na głowie.

Furgonetka ruszyła z piskiem opon i skrępowane ciało porwanego zaczęło się obijać po wnętrzu auta. Dało się słyszeć stłumione jęki. Dopiero wtedy Orzelski nieco się uspokoił. Usiadł wygodnie na

podłódze, wygrzebał spod siedzenia jakiś stary podkoszulek i otarł dokładnie pot z czoła, a następnie przetrął też dłonie.

„A dobrze ci tak, masz za swoje” – pomyślał Orzelski. – „W ogóle mi ciebie nie żal. Żal mi tylko samochodu, żebyś nie narobił wgnieceń, ale ciebie – ani trochę. Tobie też nikogo nie było żal. Tyle ludzi... do piachu... Moja córka – Anetka do tej pory nie otrząsnęła się po tym, jak nad Smoleńskiem zabili jej narzeczonego. Młody, zdolny, obiecujący... w sierpniu mieli się pobrać... a teraz dziewczyna tylko płacze po nocach, a za dnia udaje, że zapomniała, że wszystko jest w porządku...”

– Ty, sprawdź, czy on odдыcha – odezwał się chudy kierowca. Zwano go Bokserem, trochę dla śmiechu, a po części ze względu na sportowe zapędy.

Zdawało się już, że zgubili pościg.

– Gównu mnie to obchodzi, może nawet tu zdechnąć! – odparował Orzelski bez zastanowienia.

Po chwili jednak się zreflektował i szturchnął leżącego butem.

– Ty, hrabia litewski, żyjesz? – zapytał sarkastycznym tonem.

Związany zaczął coś mamrotać, wyć, i miotać się jak dżdżownica.

– Nic mu nie będzie do samej śmierci! – krzyknął w stronę kierowcy. – Gdyby to ode mnie zależało, ubiłbym go na miejscu jak psa... ale chyba lepiej, żeby się najpierw trochę pomęczył...

– No co ty?! Głowę państwa?! Przecież jaja nam za to pourywała... – odparł płochliwie kierowca i znowu docisnął pedał gazu.

Wjechali właśnie do lasu, ale z dala dobiegał już huk śmigieł helikopterów. Orzelski wyciągnął komunikator i nadał krótką wiadomość: „Jesteśmy na dwa kilometry. Otwierać. Mamy Gajowego!”

Potem zwrócił się do kierowcy chwytając się ławki, żeby nie upaść z powodu prędkości:

– Ale ty głupio gadasz! Zupełnie, jakbyś nie wiedział, co się stało ze Sławkiem Potulickim. No wiesz, czy nie?!

Kierowca tylko skinął głową dodając gazu i wymijając drzewa. Specjalnie unikał leśnych dróg, by trudniej było ich wypatrzeć z góry.

– Wszyscy wiedzą – odparł Bokser udając obojętność.

– No co ty, Bokser, wymiękasz?! – krzyknął mu znowu do szoferki. – A co my mamy do stracenia?! I tak nas powieszą za jaja! Wszyscy jesteśmy przecież na liście do utracenia. Wszyscy wiemy za dużo i za to pójdziemy do piachu w krótkim czasie. Czy tak, czy tak. Chcesz siedzieć na dupie i beczynnie czekać na wyrok? Jakoś w to nie wierzę... A tak, to przynajmniej będę wiedział, za co popełnił samobójstwo pod całą – argumentował Orzelski.

– Ciiiiii! – syknął Bokser. – Przecież on wszystko słyszy. Niepotrzebnie nas dekonspirujesz, przecież on wszystko wygada i będą nas mieli na talerzu.

Orzelski roześmiał się kwaśno i kopnął związanego przez worek w to miejsce, gdzie według niego znajdowała się głowa. Nie krył przy tym satysfakcji.

– A co on może komu powiedzieć? – roześmiał się. – Zaraz dostanie kulkę w łeb i skończy się to jego rządy...

– No wiesz...? Wiadomo, że bestia i bydło, że buc, ale jednak mimo wszystko... prezydent... Głowa państwa, któremu przysięgaliśmy lojalność... to nie o niego chodzi, bo wiadomo, że świnia, ale o nas... Czy mamy być tacy, jak oni? – dziwił się Bokser usiłując przemówić Orzelskiemu do rozsądku.

– Jakie państwo, taki prezydent! – mówiąc to Orzelski poklepał leżące ciało po wypiętych pośladkach, a następnie znowu wymierzył kopniaka. – Widocznie w tym kraju można bezkarnie strącać samoloty i zabijać prezydentów i nikt za to nie karze. Co więcej, jak utracisz prezydenta, to w nagrodę możesz zająć jego miejsce. Ten tutaj dał nam najlepszy przykład!

Bokser na ułamek sekundy spojrział w lusterko i potwierdził

swoje przypuszczenia: Orzelski wyciągnął piersiówkę i pokrząpiał się jej zawartością.

– Ty myślisz, że ktokolwiek z nas wyjdzie z tego żywy?! Nie wy-miękaj, Bokser, bo już i tak nie ma odwrotu! Wszyscy jak tu siedzi-my, jesteśmy trupami. Tyle naszego, że powyrywamy chwasty. Może nasze wnuki dokończą to, cośmy zaczęli, może wreszcie oderwą nasz kraj od Rosji i zakończą definitywnie drugą wojnę światową...

Bokser milczał. Zbliźali się do bazy. Nie mogli pozwolić, by nad-latujące helikoptery zidentyfikowały ich zamaskowaną kryjówkę. Wjechali do środka. Jakaś platforma ściągnęła samochód w dół, a dwóch ludzi zamknęło za nimi pancerne wrota.

– Musicie stąd zaraz zjeźdźać z tym furgonem, za wami jedzie już Łysy i Klama, jeden z Waśniewskim, a drugi z Karuzelem – odpo-wiedział jeden z nich, z twarzą pełną blizn, jakby po strasliwym po-parzeniu.

– A Bolek?! – zapytali równocześnie Bokser i Orzelski.

Blizna chwilę się wahał.

– Ciężka sprawa... jeszcze nie wiadomo...





Poprzedniego wieczoru Bolek Waleza starannie pakował do walizki skarpetki zwinięte w ruloniki i wygodne, flanelowe bokserki, starając się by wygodna pidżama na przelot pozostała w bagażu podręcznym. Cieszył się na ten wyjazd. Wyobrażał sobie spotkania i bankiety, hołdy i wywiady. I oczywiście kilka wykładów wygłoszonych przy okazji, za które zainkasuje honorarium w dolarach. Nawet, gdy jest się byłym prezydentem, żywą legendą i autorytetem moralnym dla milionów w kraju i na świecie, nie codziennie uczestniczy się w premierze filmu o swoim życiu i dokonaniach. I nigdy nie przestaje się lubić pieniędzy...

Coś jednak poszło nie tak i zamiast w samolocie do Hollywood Bolek wylądował... no właśnie, gdzie on właściwie jest? Dlaczego jest tak ciemno, mokro i zimno?

Przez głowę przelatywało mu tysiąc rozpaczliwych myśli, z których jedna wybijała się ponad pozostałe: Jak wypadnie pokaz filmu bez niego w Hollywood? Przecież to on jest gwiazdą, inspiracją i głównym tematem tego filmu.

– Wypuście mnie stąd! Nie macie prawa mnie tutaj więzić, przetrzymywać mnie, legendę i bohatera, to zbrodnia!!! – usiłował krzyżeć, ale z powodu srebrnej taśmy, którą zaklejono mu usta wydawał z siebie tylko odgłosy podobne do: Mmmmyymmyhmyhmy! Hmyhmyhmahma-hmmamamammmmm!!!

Nawet bez taśmy na ustach przeciętny obywatel z trudem rozumiał jego retorykę, lecz przyznać należało, że srebrzysty knebel stanowił dodatkowe utrudnienie.

„Kim oni do cholery są i czego ode mnie chcą ci porywacze? – zastanawiał się leżąc na zimnym betonie. – Przecież jak mnie już zgarnęli, i zanim nakryli głowę worem, to krzyczałem, że nic nie wiedziałem, że nie mam nic wspólnego z Amper Golf, z tą całą aferą... że to nie przeze mnie, bo ja nawet nie wiedziałem, że ta spółka ma sponsorować film o mnie...”

Szarpnął się, ale ręce wciąż miał mocno związane na plecach.

„Zresztą ten film i tak wcale mi się nie podobał. Majda mógł bardziej podkreślić, że byłem dzielny, odważny, bojowniczy, mądry... że widziałem to, czego inni nie dostrzegali i wiedziałem, jak to wykorzystać, że się nie bałem, że ryzykowałem... że się poświęcałem dla kraju... no i ten Nęckiewicz mógłby coś ze sobą zrobić... co z niego za amant? Gęba jakaś taka pryszczata... i przez cały film tylko prychał, parskał i smarkał... wyglądał jak jakiś zwykły, zaniedbany chłop, a przecież ja byłem przystojny, kobiety mnie kochały... ja nigdy tak nie wyglądałem jak on... no i nie byłem takim bufonem... Dlaczego nie zagrał mnie jakiś bardziej odpowiedni aktor, przystojniejszy... jak Podkościelny czy Gułaszyński... a choćby nawet ten Węzowski...? A właściwie, dlaczego nie Adamczyk? Papieża zagrał i dał radę, to i mnie by mógł. Nęckiewicz to taki byle jaki mężczyzna, żaden amant...”

Nagle okropna myśl przeszła na wskroś mózg leżącego na twardej betonowej powierzchni Bolka Walezy.

„Chyba mnie tak nie zostawią... bez wody, bez jedzenia... – niepokoił się, a zimny pot przesiąkał mu przez ubranie. – Przecież muszę coś jeść, inaczej nie przeżyję. A co im po mnie jak będę martwy? Niepotrzebnie im mówiłem, że mam tylko trzy tysiące emerytury prezydenckiej. Ale myślałem, że jak im powiem, że nie mają co liczyć na okup, to mnie wypuszczą... a może stwierdzili, że bez okupu to nie warto mnie trzymać i teraz czekają aż umrę z głodu, żeby mnie zakopać... w ziemi...”

– Halo! Panowie porywacze! Ja tylko tak żartowałem z tą emeryturą! Ja mam oszczędności! Akcje, obligacje, domy...! Syn sprzeda samochody, żona-biżuterię, zapłacą ile będziecie chcieli, tylko mnie nie zabijajcie! Nie zostawiajcie mnie na śmierć... chociaż kawałek chleba...” – wrzeszczał ustami zaklejonymi taśmą, ale skutków tych działań łatwo było się domyślić. Ponadto taśma nad ustami boleśnie ciągnęła go za wąsy.

„A do dupy z tym wszystkim!” – pomyślał w końcu.

W myślach nie seplenił ani trochę. W myślach nie miał ust zaklejonych taśmą. Nie wiedział ile czasu już minęło, ale sądząc po tym, jak bardzo był głodny, na pewno ze dwa dni. Nigdy jeszcze tak dotkliwie go nie torturowano. Nawet podczas inwigilacji w Arłamowie dawali mu wódkę i ogórki. No i nie był związany. Nawet czasami widywał się z żoną, która przynosiła czyste koszule, bieliznę...

„Wypuście mnie!” – znowu zaczął się szamotać, ale tym razem nie tracił już czasu na wrzask.

Albo mu się zdawało, albo istotnie znacznie poluzował więzy, krępujące mu ręce.

„Tyle czasu bez jedzenia to na pewno wychudłem na wiór, nawet pęta ze mnie spadają...” – pomyślał Bolek Waleza i bynajmniej nie miał na myśli pęt kiełbasy, choć głód ewidentnie mu doskwierał, a napływająca do ust ślina zdawała się rozpuszczać klej srebrnej taśmy na ustach.

Powoli, ostrożnie, spróbował wysunąć z więzów zdrętwiałą i obołąłą od długotrwałego skrępowania dłoń. Udało się! Wsparł się na łokciach, przysiadł ze związanymi nogami i najpierw rozmasował nadgarstki nabiegnięte ciemnymi zasinieniami. No cóż, prawdziwy mężczyzna musi czasem odnosić rany... Następnie rozwiązał nogi i spróbował wstać. Sztywno, reumatycznie, ale wciąż jeszcze mógł chodzić. Wiek i stan zdrowia nie pozwalały mu już, co prawda, dzielnie przeskakiwać przez płoty, ale wciąż jeszcze nie dał się życiu zła-

mać. Prawdziwy mężczyzna zawsze może skończyć, a ośmioro dzieci, które wychował, było najlepszym dowodem jego męskości. Przy najmniej w czasach świetności.

Teraz dopiero, z pozycji stojącej, mógł się rozejrzeć po pomieszczeniu, choć szczerze mówiąc nie bardzo było na co patrzeć: ciemność, brak jakiegokolwiek źródła światła, brak mebli, tylko gołe ściany bez okien, wilgotny beton zamiast podłogi i pionowy błyszczący prostokąt na jednej ze ścian. Chyba drzwi...

A teraz najgorsze: odkleić taśmę. Będzie bolało...

„Lepiej stopniowo czy jednym pociągnięciem?” – zastanawiał się i wyobraził sobie najpierw jak wyrывa sobie kolejno wszystkie włosy z zarostu, jeden po drugim. I ten ból, który czuje za każdym razem, przy każdym włosku oddzielnie. – To chyba już lepiej wszystkie naraz. Raz zaboli, a potem będzie już spokój.”

Jak postanowił, tak uczynił. Przygotował się psychicznie na wielki ból, nabrał powietrza nosem tyle, ile tylko był w stanie, podważył paznokciem brzegi taśmy i...

Ból przejmujący i nagły, ostry, aż do kręgosłupa dosłownie zwałił go z nóg z powrotem na beton. Nie mógł nawet krzyknąć, bo nie spodziewał się aż takiego bólu.

Gdy już się ocknął, bolała go nie tylko twarz i nadgarstki, ale też wszystkie kości, potłuczone wskutek nagłego upadku.

„Odwagi, przecież jesteś człowiekiem z nadziei!” – powtórzył sobie i splunął z żalem przypominając sobie tytuł filmu o sobie, na który miał lecieć do Hollywood.

A potem splunął raz jeszcze, bo przypomniał sobie, czyją matką jest nadzieja. Nie pocieszał go modny ostatnio slogan, że każda matka kocha swoje dzieci, nieważne czy głupie, czy mądre...

„Skoro ja jestem z nadziei, niech już nawet będzie, że głupi, to dla moich dzieci nadzieja jest... chyba babką... a nigdzie nie jest napisane, żeby nadzieja była babką głupich... ojcem jestem ja, to wia-

domo, a matką jest przecież Doruśka. A to przecież matka się liczy. Może i nie jest z niej jakaś profesorka z Harwardu, ale przynajmniej dzieci uratowałem, że głupie nie będą...” – pomyślał i otarł z czoła gęsty pot, wywołany silnym wysiłkiem intelektualnym.

Następnie, gdy już oczy przyzwyczyły się nieco do ciemności, postanowił sforsować ciężkie pancerne drzwi i wydostać się na wolność.

„W końcu jestem człowiekiem z nadziei – powtórzył sobie w myślach raz jeszcze. – To znacznie więcej niż człowiek z żelaza i człowiek z marmuru razem wzięci! To więcej niż wszyscy ludzie prezydenta, bo przecież ja JESTEM prezydentem. Emerytowanym, ale wciąż prezydentem. Z książek mnie nie wymażą. Z historii też wyrzucić nie mogą. Jestem większy niż Wielka Rewolucja Francuska! Obaliłem komunizm bez jednego wystrzału, to i takie drzwi wywalę! Dam radę! Dam radę!! Dam radę!!!”

Tak zmotywowany wziął rozbieg i z impetem uderzył w drzwi głową i częścią barku.

– Ałaa... – jęknął osuwając się na podłogę i po drodze zahaczając czołem o klamkę.

Drzwi drgnęły i uchyliły się ze skrzypieniem.

„Ale numer! Otwierają się na zewnątrz... I... wcale nie były zamknięte! – pomyślał w siadzie płaskim rozcierając bolące czoło i ramię. – Co za idioci! Zapomnieli nawet zamknąć drzwi! To ma być więzienie, phi!” – ucieszył się.

Wyszedł na wąski korytarz, przeszedł kilka kroków opierając dłoń o ściany. W ten sposób trafił na jakiś przycisk.

„Co to za pstryczek...? – zastanowił się przez chwilę. – Wcisnę to zobaczymy... ale może to niebezpieczne... może nie powinienem... a jak wybuchnie?...”

Mimo wszystko nacisnął i zaraz zapaliło się zimne, drżące światło jarzeniówek, rażące dla nieprzyzwyczajonych źrenic, co zmusiło go do zmrużenia oczu. Szybko opuścił korytarz i znalazł się w prze-

stronnym pomieszczeniu o szarych betonowych ścianach, gdzie na środku stało coś jakby wielka kadź do warzenia piwa. Zainteresował się jej przeznaczeniem i zawartością, ale do środka można było zajrzeć jedynie wchodząc na specjalny podest o metalowych stopniach, profilowanych niczym schodki w starym taborze komunikacji miejskiej. Oczywiście Bolek, choć obolały, nie zatrzymał się i wszedł po schodkach na podest. Zajrzał do środka z nadzieją, że znajdzie tam choć odrobinę piwa lub innej, równie pożywnej cieczy dla pokrzepienia strudzonego ciała. Jednak na dnie spoczywały jedynie skulone zwłoki jakiegoś człowieka. Sądząc po garniturze i eleganckich butach, nie mógł to być śpiący bezdomny, raczej ofiara spisku i porwania, podobnie jak on. Może to jakaś ważna figura... Z tym, że ten biedaczek miał znacznie mniej szczęścia. Waleza drgnął na ten widok, uderzył kolanem o brzegi miedzianej kadzi, czyniąc wielki hałas i zaraz chwycił się oburącz krawędzi, by nie wpaść do środka. Leżący na dnie naczynia ocknął się i poruszył, przyprowadzając stojącego na podeście o westchnienie prawdziwej ulgi.

– Jak dobrze, że pan żyje – krzyknął. – Bo wie pan, już myślałem, że po panu!

– Ja też się cieszę! – odkrzyknął człowiek z dna, którego twarz wciąż pozostawała w cieniu, a głos odbijający się o metalowe brzegi kadzi docierał do uszu Bolka tak zniekształcony, że trudno było określić, czy był to ktoś znajomy, czy wręcz przeciwnie. – Pomóż mi pan stąd wyleźć, podaj jakąś linę czy coś... chociażby rękę...

Waleza nie odważył się odpiąć paska, bo po kilku dniach głódówki obawiał się, że spodnie opadłyby mu aż do kostek. Spróbował za to wyciągnąć rękę, by podać ją potrzebującemu. Nic z tego, za krótka.

– Ręki panu nie podam, ale mogę panu podać nogę! – krzyknął, a jego głos odbił się echem od brzegów pustego żelastwa.

– Niech będzie! Dawaj pan, bo pić mi się chce aż strach...

Okazało się, że w kilku podskokach i przy odrobinie wspinaczki uwięziony zdołał się uczepić ręki Bolka, a następnie wspiąć wyżej po jego plecach.

– Czekał pan, bo zaraz mnie pan wejdiesz na głowę! – zaprotestował Waleza.

– Nie ukrywam, że to właśnie było moim zamiarem – odparł ratowany i w tym momencie wzrok tych dwóch się spotkał.

– Osz ty!!! – szarpnął się były prezydent rozpoznając w człowieku z kadzi swego odwiecznego wroga, choć również byłego prezydenta.

– Nie wierć się pan, bo zaraz wpadniemy obaj! – ostrzegł Alek Waśniewski gramoląc się do góry, lecz Waleza nie bacząc na logikę otrząsał się uparcie jak kundel z pcheł.

Jakimś cudem Waśniewskiemu udało się w końcu przerzucić nogę przez krawędź kadzi i przy okazji wyciągnąć za kołnierz swego niezdecydowanego wybawiciela, po czym obaj stoczyli się po schodkach z podestu i wylądowali na betonie.

– Gdybym wiedział, że to pan, to ja bym panu nawet nogi nie poda! – zapewnił Waleza.

– Co do tego akurat nie mam najmniejszych złudzeń ani nawet wątpliwości. Ale nic to – machnął spokojnie ręką Waśniewski. – Potwarza się pan, ale jakie to ma znaczenie w obecnej sytuacji? Chodźmy lepiej poszukać czegoś do picia, w gardle mi zaschło... – proponował trzeźwo.

– A w tej kadzi nie było niczego do picia? – zapytał Bolek podejrzliwie.

– Było trochę piwa, ale tyle, co kot napłakał... Ledwie trzydzieści, może pięćdziesiąt litrów... – żałośnie wyznał Waśniewski i dopiero wówczas Bolek zauważył, że garnitur jego rozmówcy wydaje ciężki, słodowy zapach, a z pewnością też o wiele łatwiej byłoby mu strzepać intruza z pleców, gdyby nie specyficzna lepkość tkaniny.

– Osz w mordę i nożem! – wykrzyknął chwytając się za krwawą ranę po wyrwanych wąsach. – A ja myślałem, że pan masz po prostu drogi, dekatyzowany garnitur i stąd te wieśniackie ciapki, esyfloresy, dziwaczna impregnacja itp., a to...

– Niestety – przyznał jakby czytając w myślach. – Chcieli mnie utopić. W piwie. Alem ich zmógł. Wypiłem wszystko, co do kropli i tak się uratowałem!

– A to świnię! – westchnął z oburzeniem. – Nie szkoda im było nawet piwa, żeby pana tylko zgładzić...

– Chodźmy tam! – przerwał mu te rozważania Waśniewski. – Tam na pewno musi być coś do picia! Albo przynajmniej toaleta...

– Zdecydujże się pan, czy chcesz pan w końcu pić czy raczej vice versa?! – skarcił go rozmówca, który zaraz pobiegł na krótkich nóżkach ku kolejnym drzwiom.

Najpierw starannie je opukali, na wszelki wypadek ostrożnie, bo przecież nie mogli wiedzieć, co się za nimi znajduje. Może bomba, może groźne krwiożercze psy, a może najzwyklejszy w świecie kibelek.

– Czy mnie się zdaje, czy ze środka dobiegają jakieś jęki? – zapytał Alek.

– Idź pan, to ta blacha tak rezonuje! Drzwi od kibla okuli pancernie jakby się bali, że ich ktoś na sraczu napadnie, phi! – stwierdził sarkastycznie Bolek.

– No to co, wyważamy?! – rozpędził się człowiek z plamami od piwa na garniturze.

– Czekał pan... – powstrzymał go Bolek i delikatnie, z chirurgiczną niemal precyzją, nacisnął klamkę.

Drzwi otworzyły się z ziewnięciem, a za nimi istotnie znajdowała się toaleta. Zajęta! Pomimo srebrnej taśmy osłaniającej usta obaj bez trudu rozpoznali człowieka przywiązanego do sedesu.

– Boborowski! – krzyknęli równocześnie, na co skrzępowana głowa państwa, siedząca na wątpliwym tronie, odpowiedziała niear-



tykułowanym wyciem i rozpaczliwym szarpaniem, zupełnie jakby próbowała się uwolnić.

– Rozwiązujemy? – zapytał Waśniewski wyciągając ręce w stro-  
nę więzów na nadgarstkach siedzącego. – Może lepiej nieeee...

– A co, chcesz pan mieć gnoja na sumieniu? Jeszcze tu się udusi  
albo z głodu padnie... – machnął ręką Waleza. – No nie ma wyjścia.

– No nie ma wyjścia, kurwa mać, no... i ja wcale nie o to... tylko  
że on na kiblu siedzi, a ja po tym piwie muszę skorzystać... – wyznał  
szczerze Waśniewski.

Gdy już pozdejnowali sznurek z rąk i nóg Boborowskiego, po-  
została tylko taśma na ustach.

– Uważaj, bo wąsy! – ostrzegł empatycznie Waleza chwytając się  
za górną wargę.

– Jakie tam, wąsy? Zgolił gnój, zupełnie jakby wiedział, że go  
zaklejać będą! – roześmiał się Waśniewski.

– I pewnie jeszcze sam się związał, żeby nas w pole wyprowa-  
dzić! Na przespīgi tutaj przyszedł! – zagalopował się Waleza cał-  
kiem poważnym tonem, jednak, gdy usłyszał, co powiedział, sam  
musiał przyznać, iż był to kompletny absurd i roześmiał się kwaśno  
dla niepoznaki, udając, że tylko żartował.

Taśma została zdjęta bez większego problemu.

– Panowie, wąsów wcale nie trzeba było wrywać – odparł uwol-  
niony Boborowski. – Wystarczyłoby odciąć nożyczkami, wąsy by od-  
rosły i nie byłoby bólu.

– Trzymaj mnie pan, bo zaraz strzelę tego przemądrzałego py-  
szałka w mordę! – Waleza zwrócił się do Alka Waśniewskiego, który  
ku jego zdziwieniu posłusznie wykonał polecenie chwytając go pod  
pachy i zaciskając w pasie, zupełnie jakby udzielał pierwszej pomocy  
przy zadławieniu.

– A puszczaj ty, czego się do mnie kleisz?! – zachnął się na to  
Waleza, więc Alek posłusznie odskoczył na metr od niego.

– Dziękuję... – powiedział pokornie Gromisław hrabia Bobowski, poprawiając okulary, które nie wiedzieć czemu pozostawiono mu na nosie. – Myślicie, że znajdzie się tu... coś do picia?...

– A tyś myślał, że my ciebie szukaliśmy z takim poświęceniem, czy jak? – naskoczył znowu Waleza. – Flaszki my szukali! To znaczy... wody... Albo chociaż piwa...

– I toalety... – przyznał Alek przebijając nogami.

Gdy już panowie prezydenci załatwili kolejno prymarne potrzeby fizjologiczne (aktualny prezydent na końcu, jako najmłodszy stażem i w dodatku, ten, który dopiero co wstał z sedesu), zjednoczeni ponad podziałami we wspólnym celu poszukiwania czegoś do picia, ruszyli do ataku, rozpraszając się po całej przestrzeni betonowego bunkra, w którym się znaleźli.

Nagle rozległ się trzask, huk i rumor, a zaraz potem dał się słyszeć wrzask Alka Waśniewskiego, który wyraźnie wzywał ratunku. Waleza natychmiast pobiegł w tamtą stronę i ujrzał Alka, rozciągniętego jak żaba na betonie, w pozycji wskazującej wyraźnie na to, że potknął się o leżące pod nim zwłoki. Ponieważ trup leżał twarzą do ziemi, trudno było zidentyfikować jego tożsamość. Jednak trzymał w dłoni kartkę papieru, jakby list...

– D-r-o-ooo-gi... drogi... znaaa...laaz... co... – zaczął sylabizować Waleza, po czym powtórzył ostatnią sylabę: – Co?!

– Daj pan to, ja też chcę zobaczyć! – wyrwał mu brutalnie papier Alek Waśniewski. – Drogi znalazco, jeżeli natkniesz się na moje szczątki doczesne, proszę, pochowaj je po chrześcijańsku, a na mogile umieść krzyż z podpisem: Tu leży generał Wojciech Karuzelski... No nie, to już są jakieś jaja! – krzyknął odsuwając kartkę od oczu.

– Karuzel, po chrześcijańsku???! – zdziwił się na to Waleza.

Niewiele mówiąc odwrócili trupa twarzą do góry, i wtedy ich oczom ukazało się pomarszczone czoło, upstrzone plamami wątro-

bowymi oraz wielkie, ciemne okulary, które w tym przypadku stanowiły najbardziej istotny i rozpoznawalny element fizjonomii.

– Jak w mordę strzelił, Karuzel... – jęknął z konsternacją Bolek i naprawdę miał ochotę strzelić generałowi w twarz, ale w tym momencie zjawił się Boborowski, który najwyraźniej nic nie słyszał, bowiem wpadł do ciasnego pomieszczenia w tanecznym pląsie, prezentując znaną gdzieś litrową flaszkę wódki z dumą nie mniejszą niż prosty kapral, który zdobywa wrogi sztandar.

– Patrzcie co mam! Znalazłem, znalazłem! – wykrzykiwał i mało też się nie potknął o leżącego generała. – O zesz w kurwę jebane!!! – wykrzyknął wywracając się.

Ledwie nałożona nakrętka opadła, Boborowski zdołał jednak zatamować wyciek tak, że tylko kilka kropel spadło na czoło, policzki i zaciśnięte usta Karuzelskiego. Ku ich wielkiemu zdziwieniu, zaczął on nagle mlaskać i językiem zlizywać z warg życiodajny płyn, po czym rozległ się cichy szept:

– Piiiiiić...

– Ty, Gromisław, skocz po jakąś wodę do kibla, zdaje się, że jesteś tu najmłodszy! – rozkazał Waleza, lecz generał powiedział równie cicho:

– Neeee... nie wody... tego samego...

Niepomni na zadawnione żale napił się ożywionego nagle generała od serca tak, że wkrótce otworzył oczy za ciemnymi szklami, a nawet spróbował samodzielnie wstać.

– Ożył! Ożył! – cieszył się Alek Waśniewski widząc, że jego idol i mentor z dzieciństwa był już w stanie samodzielnie chwycić szyjkę butelki i napić się do syta.

– Pewnie, że ożył, jak co roku po trzynastym grudnia... mruknął niechętnie Waleza. – Przecież każde dziecko wie, że co roku dwunastego karetki zabierają go na sygnale bo niby to umiera, a zaraz czternaście wraca do domu, bo w sposób cudowny odzyskuje zdrowie...

– A co mam robić? Czekać aż mi dom zgniłymi jajami obrzuca...? – odezwał się w końcu Karuzelski, na co Boborowski tylko poklepał generała po rachitycznych ze starości ramionach i rzekł:

– Daj spokój, przecież to postać tragiczna i wielce zasłużona dla kraju, niech pije na zdrowie, tam pod schodami jeszcze ze trzydzieści pudeł tego... albo i osiemdziesiąt...

– To czego nie gadasz!? – skoczył zaraz na równe nogi Waleza i pognał co sił, żeby zaraz przysposobić jakąś butelczynę dla swoich potrzeb.

Zapomniał już o wszelkich żalach, sporach i niesnaskach, a w głowie tętniły mu tylko trzy słowa: „Wódka! Wódeczka! Wódunia!”

– A ogórki...? – jęknął nieśmiało Waśniewski, jednak też nie ociągał się zbyt długo, bo syreni śpiew krystalicznej wódki wzywał go zbyt głośno by mógł się długo opierać.

\* \* \*

– Oni tu wrócą – przepowiedział złowieszczo Karuzelski zaglądając im ciemnymi szklami okularów prosto w oczy i z trudem powstrzymując drżenie całego ciała. – Oni tu wrócą, osądzą nas wszystkich i wykonają egzekucję. Pijmy, póki możemy!

Szybko opróżnił plastikowy kieliszek, uzupełnił zawartość i wychylił znów. O zapitkę nawet nie pytał. W ogóle nikt nie zadawał pytań, ale wszyscy doskonale rozumieli, że generał miał na myśli tajemniczycy porywaczy, których wyraźnie się obawiał.

– Bzdury, bajdy, dudy smalone – skontrolował zaraz Alek Waśniewski. – Jakby mieli wracać to po co by w ogóle odchodzili.

– Żeby wrócić, trzeba najpierw odejść – zauważył Karuzelski logicznie.

– A ja tam zgadzam się z Alkiem – odezwał się Gromek Boborowski. – Oni nas zostawili żebyśmy tutaj umarli z głodu i z pragnienia...

– No jak to z pragnienia, przecież wódka jest... – wtrącił się znów Waśniewski.

– No tak się tylko mówi przecież...

– Dzieci, posłuchajcie starszego kolegi! – zagrzmiął Karuzelski. – Zaprawdę powiadam wam: wrócą, osądzą i wykonają egzekucję!

– To może na was, czerwone diabły, ja jestem bohaterem i patriotą! – prychnął Bolek Waleza. – Jak będą was oskarżać, to pierwszy rzucę w was kamień! To jedno mogę wam obiecać!

– Ty, ty, Bolek, ty nie bądź taki prędki! – powstrzymał go Waśniewski. – Zapomniałeś już, że też równo jesteś w tym bagnie umo-